

## **Liliana Sonik: Pragniemy odpowiedzi, dostajemy podpowiedzi...**

Absolutyzm moralny ma swoje ograniczenia i konsekwencje, o których będąc przepełnionym szlachetnymi intencjami łatwo zapomnieć. Tymczasem polityka „na najwyższym szczeblu” mierzy się z wyzwaniem, których szlachetne intencje nie unieważnią. Wtedy, jak w greckiej tragedii, dochodzi do sytuacji, w których nie ma jednoznacznie „dobrego” rozwiązania. Już nie wybór między dobrem a złem, lecz między złem mniejszym a złem większym staje się koniecznością. W obecnej dobie o tym nieusuwalnie tragicznym pierwiastku rzeczywistości wolelibyśmy zapomnieć.

Kiedy w 2003 roku Jan Paweł II ostrzegał, nalegał, a nawet błagał, by odstąpić od planu wojny w Iraku, miał rację pod każdym względem. To „pod każdym względem” nie jest formułą retoryczną: gdy o sprawach mających wymiar polityczny wypowiadają się Autorytety, dają asumpt do analizy znaczenia przekazu w wielu aspektach. Także jeśli mówi do nas papież.

Jan Paweł II miał rację, gdy mówił, że „Wojna zawsze jest porażką ludzkości!”. Tak właśnie jest. Tyle że jedna wojna drugiej nierówna. Powstania też były wojnami. Ukraina toczy realną wojnę. Gdyby nie wojny i powstania niewolnicy na zawsze zostaliby niewolnikami. I z tego Jan Paweł II doskonale zdawał sobie sprawę.

Jan Paweł II miał rację także dlatego, że dobrze znał sytuację w Iraku i – szerzej – na Bliskim Wschodzie. Żyło tam znacznie więcej chrześcijan niż dziś, we w miarę pokojowej koegzystencji z muzułmanami. Ich opinie docierały do Watykanu, były uważnie weryfikowane, a późniejsze wydarzenia potwierdziły słuszność prezentowanych diagnoz i intuicji.

Jan Paweł II, apelując o zaniechanie wojny, miał rację wbrew dominującej części opinii publicznej Zachodu. W efekcie szoku, jakim były zamachy 11 września 2001, wielu ludzi uznało za uzasadnione radykalne działania wobec państw wspierających terroryzm. Choć nigdy nie dowiedziono, że Irak hołubił terrorystów, to przeciw zapowiadanej interwencji zbrojnej protestowały nieliczne stolice. Tym mocniej rezonował papieski sprzeciw, którego wagi dziś nie doceniamy. Nie chodzi mi o cywilną odwagę bycia w mniejszości. Wszak w gruncie rzeczy to cecha papieskiego „urzędu”. Chodzi także o to, że dzięki jego stanowisku miliard muzułmanów nie postrzegał – i nie mógł interpretować – interwencji w Iraku jako krucjaty.

**Przeczytaj również: Od Hippony do Waszyngtonu – Jan Maciejewski**

Miał też rację, osadzając argumenty przeciw wojnie w rozbudowanym kontekście – teologicznym i historycznym – prezentowanym przed nieprzypadkowym audytorium. 13 stycznia 2003 na spotkaniu z korpusem dyplomatycznym akredytowanym przy Stolicy Apostolskiej papież mówił m.in. o „nierozwiązanym kryzysie na Bliskim Wschodzie, gdzie dwa narody, izraelski i palestyński, powinny żyć obok siebie, ciesząc się w równym stopniu wolnością i suwerennością, w duchu wzajemnego szacunku.” I dodawał, że „wojna nigdy nie jest metodą

taką samą jak inne, którą można się dowolnie posługiwać, aby rozstrzygać spory między państwami. [...] Nawet gdy chodzi o obronę dobra wspólnego, można się do niej uciec jedynie w sytuacji zupełnej ostateczności, zachowując przy tym ściśle określone warunki i biorąc pod uwagę jej konsekwencje dla ludności cywilnej w czasie działań wojennych i po ich zakończeniu.”

Dwa miesiące później, choć również przed atakiem na Irak, Jan Paweł II zwrócił się do kilkudziesięciu tysięcy ludzi zgromadzonych na Anioł Pański. Nie zmieniając ani na jotę sensu przesłania, dostosował język przekazu do specyfiki miejsca i czasu: „Prośmy Pana, aby wlał w serca wszystkich stron konfliktu odwagę i mądrość. [...] „odpowiedzialni politycy z Bagdadu mają pilny obowiązek pełnej współpracy, aby wyeliminować wszelkie powody zbrojnej interwencji. Do nich kieruję moje ponaglące wezwanie: niech losy ich współobywateli będą zawsze najważniejsze!”

I dalej: „... wobec straszliwych konsekwencji, jakie przyniosłaby międzynarodowa operacja wojskowa dla ludności Iraku, dla równowagi w całym regionie Bliskiego Wschodu, tak już bardzo doświadczanego, choćby przez ruchy ekstremistyczne, które mogłyby być nią wywołane, mówię wszystkim: jest jeszcze czas na negocjacje, jest jeszcze miejsce na pokój. [...] Nigdy nie jest za późno, by się zrozumieć i rozmawiać. Refleksja nad swoimi powinnościami, zaangażowanie w skuteczne negocjacje nie oznaczają poniżenia ale odpowiedzialną pracę na rzecz pokoju”. [...] „My chrześcijanie jesteśmy przekonani, że autentyczny i trwały pokój nie jest owocem jedynie koniecznych umów politycznych i zgody pomiędzy jednostkami i narodami, ale jest darem Boga dla tych, którzy jemu się oddają i z pokorą oraz wdzięcznością przyjmują światło jego miłości”.

\*\*\*

Z papieskich słów promienieje opanowanie i szacunek do wszystkich, absolutnie nie wykluczające klarownego stanowiska własnego. Stanowczość nie jest tu mylona z zapalczywością. Jak cynicznie zauważył Stalin, papież nie ma dywizji. Jednak dysponuje potężniejszym zasobem, bo może czerpać z dwu tysięcy lat doświadczeń Kościoła. A te wskazują, że czas anatem się skończył. Dziś anatema bywa częstą formą wykluczania z debaty w świecie świeckim, nie w Kościele. Wydawało się, że Kościół był mądrzejszy przed innymi.

**Przeczytaj również: Czy papież może krytykować prezydenta? – Marek A. Cichocki**

Dlatego źle przyjąłam porywczość ocen sformułowanych 10 i 11 kwietnia przez Leona XIV. Po pięknych i wzniosłych rozważaniach o roli i znaczeniu modlitwy padły sformułowania na granicy anatemy. Cytuje je szeroko w swoim tekście Jan Rokita.

Odnoszę wrażenie, że choć obecnego papieża z Janem Pawłem II łączy autentyczna troska o sprawiedliwy świat, to ich metody – i sposób informowania – się różnią.

Nie widać precyzyjnego rozeznania sytuacji. Język przypomina bardziej oszalałe w swym niekontrolowanym rozbuchaniu tweety Trumpa, niż rozumienie roli każdego wypowiedzianego słowa, jakie cechowało Jana Pawła II. Oceną metody komunikacji i arogancji prezydenta USA tu się nie zajmuję, Zauważę tylko, że zdanie „a poza tym sądzę, że Kartaginę

należy zniszczyć” mogło się zmaterializować w 146 roku p.n.e.; dziś jest tylko pohukiwaniem nawiązującym do słów Katona Starszego. Wolałabym zatem żeby papież nie dawał się prowokować. I nie wiem, czy chcielibyśmy, aby słowa Ojca świętego dawały się interpretować jako wsparcie dla irańskich władz. Tym bardziej że skrajne potępienie wydaje się zbieżne ze standardową linią dominujących mediów. Owszem, widzimy, że niektórzy zwolennicy Trumpa, a nawet jego niektórzy współpracownicy, wpisują się w zapomnianą ideę chrześcijańskiej krucjaty, lecz słowa papieża nadają temu szkodliwemu absurdowi wagi i powagi.

Absolutyzm moralny ma bowiem swoje ograniczenia i konsekwencje, o których będąc przepełnionym szlachetnymi intencjami łatwo zapomnieć. Tymczasem polityka „na najwyższym szczeblu” mierzy się z wyzwaniem, których szlachetne intencje nie unieważnią. Wtedy, jak w greckiej tragedii, dochodzi do sytuacji, w których nie ma jednoznacznie „dobrego” rozwiązania. Już nie wybór między dobrem a złem, lecz między złem mniejszym a złem większym staje się koniecznością. W obecnej dobie o tym nieusuwalnie tragicznym pierwiastku rzeczywistości wolelibyśmy zapomnieć.

Rozumieli to Grecy, rozumiał Sofokles i Tomasz Akwinata, a niedawno opisał Robert D. Kaplan w książce, której sam tytuł daje do myślenia: „Tragizm polityki naszych czasów. Strach, fatum i brzemię władzy”. Po swojemu obrazowo, wiele lat wcześniej pisał Stefan Kisielewski [Kisiel] w tekście „Filozofia, Polityka, Diabeł”:

Polityka jest dyscypliną samą w sobie, niejako absolutną, w swej autonomiczności i zimnej logice tak doskonałą jak matematyka. Doskonałość ta orzeźwia niczym blask cennego górskiego kamienia - blask sam w sobie i dla siebie. Tylko że blask polityki jest nieco, albo i bardzo diaboliczny. Co tu dużo mówić: polityka wysokiego szczebla to w dużym stopniu domena diabła. Kieruje się własną (nie)moralnością, poświęca jednostki dla zbiorowiska, tysiące istnień ludzkich dla milionów, miliony dla miliardów, mowy używa do ukrycia myśli, a prawdę słów poświęca dla sukcesu czynów. Diabeł jest patronem wielkiej polityki, choć nie lubi o tym mówić ani Kościół, ani historia narodów, ani nawet „Tygodnik Powszechny” [...]

Nasuwa się zasadnicze pytanie: czy mamy czcić ludzi skutecznych, czy ludzi porządnych? Czy tych, którym się udało, czy tych, co tylko chcieli dobrze? I co na to etyka, religia, Kościół? Skoro polityka jest w dużej części domeną diabła, to w jakim stopniu chcąc zrobić coś dla narodu, można z tym diabłem wejść w konszachty? Bo przecież diabeł jest składnikiem świata, a więc także religii. Zresztą Pismo nas o tym uczy: diabeł to strącony anioł, otrzymał prawo kuszenia, kusił nawet Chrystusa. A jeśli istnieje ten co kusi, to musi istnieć i kuszony, i wielu kuszonych. [...]

Jeśli polityka jest w dużym stopniu dziedziną diaboliczną, bo kieruje się nie moralnością indywidualną, lecz zbiorową, opartą na zasadzie „cel uświęca środki”, to w jakim stopniu, właśnie z pobudek np. patriotycznych, możemy się nią zajmować? Inaczej mówiąc: dokąd może sięgać nasz pakt zawarty z diabłem?!

Roosevelt ukrył, że wie o nadchodzącym nalocie na Pearl Harbor, bo rozumiał, że tylko krwawa klęska skłoni Amerykanów do zaaprobowania wojny, którą uważał za historycznie i moralnie konieczną. Podobnie Churchill nie kazał ewakuować ludności cywilnej miasta Coventry, choć wiedział, że Niemcy przygotowują wielki nalot, ale nie chciał zdradzić, że zna ich szyfr.

Roosevelt i Churchill mają dziś pomniki. Ale czy są w niebie, czy całkiem gdzie indziej? I dlaczego? Chciałbym rozstrzygnąć sobie te wszystkie wątpliwości...

W charakterystyczny dla siebie sposób Kisiel wskazuje zasadzki, jakie diabeł stawia przed politykami „wysokiego szczebla”. Ale przecież wie doskonale, że bez politycznej organizacji wrócilibyśmy do stanu pierwotnej hordy, gdzie w niekończącej się anarchii wszyscy toczą się wojnę z wszystkimi.

Jak złożone nie byłyby mechanizmy decyzyjne, ktoś w końcu musi zaakceptować konkretne rozwiązanie. I tego skutki. To nie gra w wojnę w kółku narysowanym kredą na chodniku. Staram się o tym pamiętać, oceniając.

\*\*\*

Jaką wagą mierzyć niesłuszność wojny? Banałem jest twierdzenie, że historycznie w naszym kręgu kulturowym opinię w tej materii kształtowali ludzie Kościoła. Także w polskiej myśli prawnej. Dla

królewskiego spowiednika Stanisława ze Skarbimierza każda wojna była niedopuszczalna z kilkoma załedwie wyjątkami, które precyzyjnie określił: „Wojna musi mieć słuszną (prawą) przyczynę, jak dążenie do przywrócenia pokoju, lub wynikać z konieczności, gdy wobec postawy wroga nie można jej było uniknąć.”

Dalej szedł Paweł Włodkowiec, który na Soborze w Konstancji prezentował traktat „O zakonie krzyżackim i o wojnie Polaków przeciwko wzmiankowanym braciom”, gdzie twierdził, że „co się dzieje wbrew prawu winno zostać uznane za niebyłe”. Ale żył jeszcze Włodkowiec kiedy komtur Ostródy relacjonował wielkiemu mistrzowi przebieg negocjacji z miejscowym rycerstwem, Gdy rycerze skarżyli się na łamanie prawa, a jeden krzyknął rozgoryczony „czymże zatem jest prawo chełmińskie?”, komtur udzielił odpowiedzi jednoznacznej: „My jesteśmy waszym prawem!”

### **Przeczytaj również: Przesłanie Leona XIV podczas czuwania modlitewnego w intencji pokoju**

Czy zamordowanie tylko w tym roku 30 tysięcy własnych obywateli jest bardziej sprawiedliwe, bo przecież zgodne z irańskim prawem, niż 3200 osób zabitych w Iranie niezgodnie z prawem przez wojska amerykańskie i izraelskie?

Czy ruinę i niekończące się śmiertelne ofiary Libanu zatrzymają negocjacje, skoro po 40 latach powracających rokowań Liban jest zaprzeczeniem, tego czym był? Nazywany kiedyś „Szwajcarią Bliskiego Wschodu”, był zamożnym, wysoko rozwiniętym krajem i centrum finansowym szczycącym się neutralnością, tolerancją i wizerunkiem

„bezpiecznej przystani” dla uchodźców. Teraz Hezbollah jest tam państwem w państwie a – wedle doniesień – dowodzony jest obecnie bezpośrednio przez Strażników Rewolucji importowanych z Iranu.

Można też pytać martwych Ukraińców co sądzą o transferze irańskich technologii dronowych i Shahedach dla Rosji. Współpraca wojskowa Teheranu z Koreą Północną też idzie pełną parą, dzięki czemu rakiety balistyczne z Iranu mogą razić cele w Europie, a bomby atomowe, jakie ma Korea, da się szybko złożyć, prawie jak klocki lego.

Możemy oczywiście tych pytań nie zauważać, możemy tych dylematów nie dostrzegać, ale one od zamilczenia nie znikną.

*Liliana Sonik*